



Rok X, nr 1 (36)

ISSN 1730-9581

Kwiecień 2012

Sprzedaż łącznie z Nowym Łowiczaniec
i Wieściami z Głowna i Strykowa

swoje przywileje i kosili łączki bartne, wybierali drewno w lesie lub wypasali bydło i świnię. W aktach kanclerskich i arcybiskupich pełno jest wzmianek o tym, że bartnicy korzystali z przywileju, potwierdzonego przez króla Zygmunta III w 1630 r. Pozbawieni organizacji korzystali często z poparcia konfratrów z Kampinosu, Wyszogrodu czy Zakroczymia.

Do lasów bartnych „wchodzili” stosunkowo nieliczni, ale dość zamożni ludzie z Bolimowa, Sochaczewa, Łowicza, Głowna, a nawet Strykowa i Brzezina. Dla nich bartnictwo było tylko uzupełnieniem dochodów z rolnictwa czy rzemiosła. W źródłach odnajdujemy imiona i nazwiska bartników ziemi łowickiej. Szlachcicami-bartnikami byli Grabowscy, Ostrowscy, Danowscy, Lampiccy, Zakrzewscy, ale już Koszelowie, Bielawowie, Pieczonkowie, Koskowie, Sędkowie czy Gładyszowie byli chłopami.

Przesady czy tradycja

Okruchy wiedzy bartniczej już jako relikty tradycji „przeniosły się” do pasiek przydomo-

W kręgu pszczelarskiej tradycji

Od początku XVI w. w Łowickiem kwitło pasiecznictwo, a rolnik trzymał swoje pszczoły w przydomowej pasiece. Obok istniały rozległe bory bartne, dające pokaźne ilości miodu i wosku. Najstynniejsze z nich leżały w Puszczy Bolimowskiej. Inne lasy otaczające Księstwo miały też swoich bartników, stanowiących konkurencję dla łowickich pszczelarzy. Najstynniejsi z nich mieszkali w okolicach Nieborowa, Głowna, Domaniewic, Łyszkowic, a także Kiernozi. Pasiecznicy łowiccy już od połowy XVI w. nie płacili podatku od prowadzenia pasiek. Musieli go uiścić ci, którzy mieli barcie lub kłody bartne w lasach właścicieli prywatnych lub prymasów. Ci ostatni zresztą byli zainteresowani głównie pozyskiwaniem wosku „na Światło do Ołtarzy”.

Wszyscy łowiccy pszczelarze stosowali ówczesne miary do mierzenia miodu. Nosily one różne nazwy - były więc rączki sochaczewskie, rawskie i warszawskie. Jedne miały pojemność 7 litrów, inne zaś nawet 28 l, co dzisiaj utrudnia ocenę źródeł. Wydaje się, że w dawnych wiekach pszczoły mogły dawać z ula od 10 do 25 l. miodu, a wosku nawet 1 kg.

Pozostałości tradycji bartnych tkwiły nie tyle w świadomości kulturowej, ile w życiu codziennym - niegdysiejsi bartnicy powoływali się na



Ul kładowy z przełomu XIX i XX w. w skansenie przy łowickim Muzeum. Karta pocztowa wydana przez Muzeum w Łowiczu.

wych. Do tej sfery należały nawyki zawodowe ludności kontynuującej tradycyjne zajęcia, na przykład tzw. „chodzenie koło pszczoł”, znane dawniej powszechnie, a dziś rzadko występujące. Rzeczą wartą odnotowania jest ciągłość zasad występowania w pasiece. Każdy region historyczny ma swój zasób nawyków, rzutujących na sposób pracy przy pszczołach, a także na ocenę walorów miodu czy wosku. Warto więc przyjrzeć się zachowanym, a ukrytymi czasem przed ciekawskimi obyczajami.

Pasiecznicy nie eksponują przed osobami postronnymi swych nawyków czy przesądów, wręcz je ukrywają. Spowodowane jest to tym, że rośnie liczba osób usiłujących zajrzeć do pasieki. Spróbujmy więc opisać to, co pozostało z przeszłości, ażeby inni mogli przejść ścieżkami, jakimi wciąż jeszcze wędrują pszczelarze łowiccy. Jest to wyjątkowo trudne, ponieważ jedni nie chcą się przyznać do holdowania tradycji, a inni pragną utajnić „moce nadzwyczajne”, jakie według ich mniemania rządzą w pasiece.

Znaczenie i rola wosku

Wosk był produktem znacznie cenniejszym niż miód. Pszczelarze część wosku przekazywali właścicielom dóbr, w których mieszkali, a część sprzedawali na rynku. Wiemy, że wywożono go do Łowicza, Sochaczewa, Rawy i Warszawy. Pewna jego ilość była składana w kościołach jako dar wotywny. W parafiach obowiązywały różne terminy składania wosku: 8 grudnia i 3 maja składano wosk maryjny, 13 grudnia św. Łucji, a 2 lutego Wosk Gromniczny (nazywany tu i ówdzie woskiem Matki Boskiej Gromniczej).

dok. str. II

Pani Maryjka w Dąbrowie Zduńskiej

W połowie 2009 r. ukazał się pod redakcją Tadeusza Drewnowskiego pełny tekst dzienników Marii Dąbrowskiej, w ograniczonym nakładzie trzystu egzemplarzy dla celów studyjnych. Jeszcze bez przypisów, komentarzy, opracowania edytorskiego, jedynie z krótkimi, niezbędnymi informacjami dotyczącymi źródeł. Minął już bowiem czas zastrzeżony, czyli czterdziestu lat od śmierci autorki. Teraz otrzymaliśmy liczącą blisko trzy tysiące stron formatu A4 całość w trzynastu tomach, obejmującą lata 1914-1965.

W dwóch poprzednich wyborach opuszczono wiele fragmentów dotyczących postaw politycznych i obyczajowych żyjących jeszcze wtedy osób.

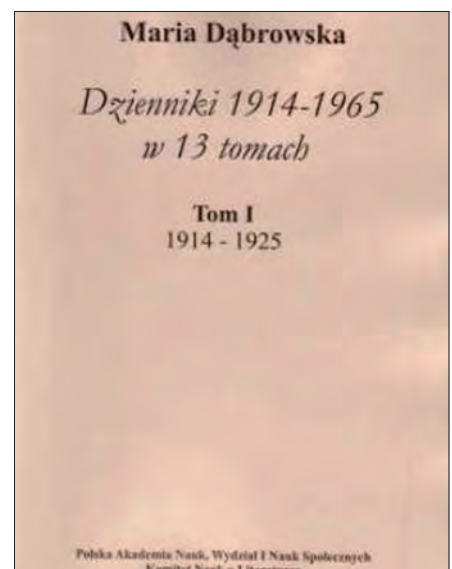
Pominięto też, z zupełnie niezrozumiałych względów, obszerne partie poświęcone pobytowi wielkiej pisarki w Dąbrowie Zduńskiej, kiedyś części wsi Zduny-Parcel, a dziś Nowych Zdun. Dopiero więc teraz możemy docenić, jak ważną rolę odegrało to właśnie miejsce, zarówno w życiu osobistym, jak też intelektualnym autorki „Nocy i dni”.

Sprawy wsi, zwłaszcza zaś oświaty wiejskiej, zawsze były bliskie Marii Dąbrowskiej. Nic też dziwnego, że bez wahania przyjęła osobiste zaproszenie Leonildy i Kazimierza Wyszomirskich do odwiedzenia rocznej szkoły rolniczej dla dziewcząt w Dąbrowie Zduńskiej. „Przyjechałam tam - zapisała w „Dzienniku” - w piątek 11 listopada w Święto Narodowe”. Nie jest to błąd, jak można by sądzić, gdyż

związana od wczesnej młodości z Legionami Józefa Piłsudskiego, tak właśnie traktowała ten dzień. Jej spotkanie ze zduńskimi dziewczętami następnego dnia jest dobrze znane z poprzednich wyborów dzienników. Nic jednak dotychczas nie wiedzieliśmy o ostatnim dniu jej pobytu w podłowickiej szkole. Okazuje się bowiem, że w niedzielę rano 13 listopada pojechała szkolną bryczką do kościoła św. Jakuba w Zdunach Kościelnych, a także odwiedziła jeszcze sąsiednią wieś.

W zduńskiej świątyni panią Maryjkę, jak ją nazywali najbliżsi i przyjaciele, zachwyciły kolorowe stroje Księżaków. Jej malarskie oko dostrzegło w stylowych welniakach i zapaskach „stonowaną gamę purpur, brązów i żółci”.

dok. str. IV



Strona tytułowa tomu I „Dzienników” M. Dąbrowskiej

dok. ze str. I

W kręgu pszczelarskiej tradycji

Część jego trafiała w ręce ludzi o dość osobliwym statusie - byli to mianowicie naruszycciele porządku publicznego lub norm obyczajowych, skazywani przez sąd na uiszczenie kary, nazywanej woskową. Nieraz był to funt wosku (0,5 kg), a czasem nawet 2 kamienie, czyli 25 kg. Wosk karny służył jakby do odkupienia niektórych grzechów.

Innym był „wosk statutowy”, nazywany nieraz „cechowym”, czyli taki, który musiał złożyć w cechu człowiek usamodzielniający się w zawodzie. Ze zgromadzonego wosku odlewano świece i ofiarowywano je do kościoła w czasie uroczystości cechowych, były palone w czasie pogrzebu członka cechu lub też w czasie procesji. Odrębną funkcję miały świece gromniczne oraz świece nazywane „piotrowymi”, „jakubowymi” czy „błażejki”. Wszystkie one były znane w Łowickiem do końca XVIII w., a niektóre przetrwały do naszych czasów. Kapłani i wierni pamiętali bowiem o gromnicach i paschałach. Te ostatnie były dziełami sztuki, aczkolwiek nietrwałymi, ponieważ paschał, wyrzeźbiony w bryle wosku, „płonął na ołtarzu równo, jasno i dostojnie”. „Błażejki” natomiast zarzucono już w XVII w., gdyż uznano, że nie posiadają mocy leczenia dolegliwości gardła, a taką właściwość im przypisywano.

Często wyrokowano ze sposobu palenia świecy woskowej. Uważnie spoglądano na świecę urodzinową, od chrztu, a zwłaszcza na ślubną. Ludzie przyjmowani do zawodu mieli obowiązek zanieść do kościoła dar woskowy oraz nieść w trakcie procesji zapaloną świecę. Wtedy całą uwagę skupiali na utrzymaniu ognia, gdyż zgaśnięcie świecy uważano za zapowiedź złej przyszłości. W tym ostatnim przypadku mogło to wynikać z faktu zafalszowania wosku albo z chęci ukrycia jakiegoś grzechu. I jedno i drugie „odkrycie” było z całą pewnością groźne dla człowieka wchodzącego w życie zawodowe.

Znany był też zwyczaj składania kary woskowej w kościele. Karę wymierzał sąd wyrokujący przy udziale właściciela dóbr. Szlachta i duchowni nie podlegali takiemu sądowi. Chłopom i mieszczańom wymierzano nieraz dodatkową karę, jaką było złożenie określonej ilości wosku w miejscowym kościele. Funt wosku karnego musiały złożyć kobiety zajmujące się wróżbami, zwłaszcza woskowymi. Karę podobną płacili oszczerczyni „potoczne”,

a więc używające wyrazów uwłaczających czci drugiej osobie. Za klótnie domowe, a zwłaszcza za brak szacunku dla rodzica, kara wynosiła nawet dwa kamienie. Nieuczciwe transakcje karano podobnie. Były to kary „doliczane” do kar w postaci osadzenia w kozie, plag wymierzanych publicznie czy też kary pieniężnej.

Obyczaje pszczelarzy

Uporczywe trzymanie się tajemnicy pasiecznej jest zasadą wszystkich pszczelarzy, milczących jak zakłęci, byle tylko nie powiedzieć prawdy. Symbol obecności siły tajemnej stoi w wielu pasiekach. Nieraz jest to jakiś stary gliniany garnek upchnięty pod ul, innym razem niepotrzebna stępa lub międlica, wkładane pod daszek wiekowego ula. Światli, postępowi i zasobni pszczelarze hołdują bardziej wyrafinowanej metodzie zabezpieczania pasieki przed „siłami nieczystymi”. W takiej pasiece jest ustawiony ul figuralny, który „przyszedł” do nas z Moraw. Wiemy, że wędrował długo i wytrwale, aż odnalazł się w pasiekach śląskich i wielkopolskich, a z czasem zawędrował aż pod Moskwę. Wszędzie zaś był ulem kultowym i takim pozostał do dzisiaj, i niech żaden miłośnik takiego ula nie wmawia innym, że ustawia go tylko z poczucia piękna. Ule figuralne - odtwarzające duchownego, świętego, Żyda czy Cygana mają określone funkcje, narzucone kiedyś w dalekiej przeszłości, ale doskonale pełniące swoją rolę dzisiaj.

W Łowickiem jest przynajmniej kilku pszczelarzy znających doskonale „drugą stronę” pszczelarzenia, czyli obyczajowość. Należą do nich państwo Janina i Jerzy Garczarczykowie, prowadzący od wielu lat szkolenia pszczelarskie, odwiedzający okoliczne pasieki i rozmawiający z pasiecznikami. Warto więc byłoby ich zachęcić do zwierzeń. Mogliby na przykład powiedzieć o „podwójnej buchalterii pasiecznej”, kiedy to inaczej liczy się rodziny pszczele na własne potrzeby, a inaczej dla zaspokojenia ciekawości postronnych. Wiedzą też zapewne, jaką rolę odgrywa mała figurka odlana w dniu św. Łucji i umieszczana w pigularesie skąpego męża. Pszczelarze chętnie i ze swadą wypowiadają się o obyczajach czy przesądach, jednakże starannie unikają personalizacji, czy też lokalizacji opisywanych przez nich zjawisk. Ta ogólnikowość jest uza-

sadniona, ponieważ nikt z nich nie chce stanąć po stronie „przesądu”, ale też nikt nie chce podawać wyznawcy tej praktyki.

A przecież słyszeli oni o Borucie, wspomagającym „odlewanie wróżebnych figurek” woskowych i o jego ekscesach pijackich, kiedy to przyjął zakład, iż wypije duszkiem garniec miodu syconego, a wypił cały achteł (ok. 60 l), narażając tym samym właściciela karczmy na znaczne straty. Wypity bowiem bezpłatnie miód nie był największą stratą. Była nią utrata karczmarzowej - pięknej, hożej i wesołej - która wołała przenieść się w „borutowe” bagna łączycykie, niż usługiwać w karczmie na skrzyżowaniu dróg z Łęczycy do Łowicza oraz z Głowna do Żychlina. Na ile diabeł może mącić w małżeństwie, mógłby powiedzieć jeden z niegdysiejszych dziedziców pobliskich Walewic, mający piękną i młodą kobietę u swego nazbyt dojrzałego boku.

Pszczelarze wiedzą zapewne i o tym, jak należy rozpoczynać dzień w pasiece, gdy jest zapewniona „tajemnica zawodowa”, a jak wtedy, gdy ciekawski, czy tylko nieświadomy osobnik „zapuszcza żurawia” do pasieki. A może słyszeli o nowoczesnej formie uczestniczenia w konkurencji pasiecznej, jaką jest zapalanie ogarka woskowego w intencji „zdolowania” sąsiada - pasiecznika. Autor wie o przypadku, gdy taki ogarek zapalał postępowy pasiecznik, za każdym razem spluwający trzykrotnie przez lewe ramię i wypowiadający cicho słowa: „zgiń, przepadnij siło nieczysta”. Życzenie chyba odnosiło się nie tyle do rzeczywistej siły nieczystej, ile do pasiecznika, który „miał rękę do pszczoł”. Ostatecznie, któregoś dnia „szczęście” odeszło z pasieki, a jego posiadacz zajął się sprzedażą cegieł!

Falszerze miodu

Sprzeczne z tradycją pszczelarską jest „tworzenie nowego zabobonu” - tym razem antypszczelarskiego. Polega to na gromadzeniu sposobów, sztuk czy sztuczek rozpoznawania jakości miodu. W świecie miłośników miodu, daleko stojących od pasieki, krążą opowieści o fałszerzach miodu lub wosku. Poczucie ludzkiej sprawiedliwości każe im dążyć do wykrycia takich fałszerstw. Przyznać trzeba, że i tutaj niewiedza idzie w parze z zabobonem, tyle że nowoczesnym i światłym naukowo.

W tym działaniu każdy jest niemalże Mikołajem Kopernikiem, a już z pewnością Marią Skłodowską-Curie, a przecież nasze babcie rozpoznawały smak miodu, ustalając to z „wyrazu twarzy sprzedającego”. Opowiadał pewien stary nauczyciel i jeszcze starszy pszczelarz, żyjący w pierwszej połowie ubiegłego wieku w Łyszkowicach, że jego babcia bez omyłki wykrywała fałszerza miodu lub wosku. Ale za jej żywota obowiązywała słusza zasada, że takiego oszusta sieczono publicznie na rynku (także łowickim).

W przypadku, gdy wpadka takiemu handlarzowi przytrafiła się po raz pierwszy, brał on 50 plag na goły tyłek, za „recydywę” jednak wymierzano już sto, a za trzecim razem musiał opuścić miejsce swego zamieszkania. Była to surowa kara, ale przecież w tym samym czasie na Polesiu, Huculszczyźnie, a nawet na zagarniętym przez Prusaków Pomorzu można było utracić życie i zostać pochowanym na rozstajnych drogach. Łowiczanie nie byli aż tak okrutni, ale pięćdziesiąt plag i to wziętych publicznie nie należało do przyjemnych, zwłaszcza, że nie sieczono na „kobierczyku łowickim”, ale na wózku wypełnionym gnojem z chlewa. Okłady z nawozu jakoby dobrze uśmierzały ból. Warto zapytać, czy w czasach nam znacznie bliższych nie zdarzyła się rzecz podobna jakiemuś pszczelarzowi, skoro tak jeszcze niedawno bito koniokradów. A tych, podobnie jak nieuczciwych sprzedawców miodu, nie brakowało także w Księstwie Łowickim ani, gdy należało ono do arcybiskupów, ani wtedy, gdy zagarnęli je Prusacy czy też, gdy wyzwolili Francuzi.

Łowickie jest więc ziemią pełną obyczajów, przesądów, tradycji (określenie właściwe do demokratycznego wyboru przez czytelnika) w dziedzinie pszczelarstwa. Na tym polu mamy możliwości pogłębienia wiedzy, gdyż przed badaczami stoją otworem bogate zasoby materiałów pisanych z dawnych wieków, a ich wymowę warto wzbogacić materiałami ze sfery domniemań nowoczesnych, a nieraz wręcz postnowoczesnych, jak o tym świadczy wspaniały rozwój nowoczesnego wróżbiarstwa woskowego. Sferą jakże wymowną jest obecność pszczoły i światła świecy woskowej, które spotykamy w poezji rozkochanych w kulturze i historii Ziemi Łowickiej.

Romuald Wróblewski

Zostawił młyn, by chwycić za karabin

W Dzierzgowie 21 stycznia 1890 r. o godz. 7 rano przyszedł na świat syn Teofila Konopackiego i Michaliny z Cicharzewskich, któremu ks. Daniel Michałowski na chrzcie 4 lutego w bełchowskim kościele dał imię Wacław. Jego chrzestnymi byli: Józef, brat ojca i Aleksandra Mończycka. Z czasem mały Wacław doczekał się dwanaścioro rodzeństwa, ale tylko siedmioro z nich doczekało dorosłego wieku.

Wacław wywodził się z rodziny młynarzy. Jego dziadek Józef po upadku powstania styczniowego sprowadził się z Bogdanowa do Dzierzgowa i został nowym młynarzem. Młyn, który prowadził, miał już swoją bogatą historię, sięgającą czasów



Tablica pamiątkowa Wacława Konopackiego w kościele bełchowskim, fot. autora

napoleońskich. W 1812 r. był własnością Jakuba Fabjanowicza i jego o rok starszej żony Krystyny, wdowy po żołnierzu Księstwa Warszawskiego. Pieczę nad młynem sprawował wtedy Walery Rosiński. Młyn mielił zboże na mąkę dla stacjonującego wojska oraz okolicznych gospodarzy.

W 70 lat później stary młyn dzierzgowski nie spełniał już współczesnych standardów, dlatego w 1881 r. Józef Konopacki kupił w Bełchowie za 500 rubli od Józefa Ambroziaka 6-morgową osadę i zaczął gromadzić materiały pod budowę nowego młyna. Pewnej nocy ktoś, komu prawdopodobnie zależało, by nie dopuścić do jego powstania, podpalił zgromadzone drewno. Józef zebrał szybko nowy materiał i jeszcze tego samego roku postawił wymarzony młyn. Przed śmiercią w 1891 r. zdołał sprowadzić tu całą swoją rodzinę z Dzierzgowa. Młyn zaś przejął notarialnie w 1894 r. najstarszy z synów - Teofil, urodzony 40 lat wcześniej w dawnym mieście Grocholicach.

Kontynuatorem profesji młynarskiej miał być wspomniany wyżej syn Teofila - Wacław. Chłopiec uczęszczał do szkoły elementarnej w Bełchowie, a następnie do gimnazjum w Łowiczu.

dok. str. IV

Tajemnice notatnika Tarczyńskiego

Nie spodziewałem się, że będę miał jeszcze okazję zobaczenia jakichś nowych dokumentów pochodzących z dawnego Muzeum Starożytności i Pamiątek Historycznych Władysława Tarczyńskiego. Tymczasem całkiem niedawno mogłem nie tylko je obejrzeć, ale dość nieoczekiwanie przyjąć w darze do łowickich zbiorów archiwalnych. Dziś o jednym z najciekawszych dokumentów tego daru - osobistym notatniku Władysława Tarczyńskiego.

Los znacznej części eksponatów muzealnych gromadzonych przez lata przez Władysława Tarczyńskiego pozostaje nadal zagadką. Wystarczy powiedzieć, że zaledwie połowa przedmiotów z jego wspaniałej kolekcji zachowała się do naszych czasów, stanowiąc dziś najcenniejszy fragment zbiorów łowickiego muzeum oraz archiwum. Z zachowanych spisów inwentarzowych tego muzeum łatwo przekonać się, jak wiele wartościowych dla poznania naszej historii i kultury pamiątek i dokumentów zostało bezpowrotnie straconych. Dlatego każdorazowe ujawnienie się nowych obiektów z jego zbiorów uważać należy za ważne wydarzenie.

Przed rokiem odwiedziła łowickie archiwum pani Teresa Iwanowska, będąca prawnuczką Władysława Tarczyńskiego. Jej wizyta nie była przypadkowa, lecz wiązała się z chęcią przekazania do archiwum materiałów, które przez lata znajdowały się w jej domowych zbiorach. Z przywiezionej dużej teczek aktowej, jakby stopniując napięcie, pani Teresa ostrożnie wykladała przede mną na biurko coraz to ciekawsze dokumenty, stanowiące pamiątki po swym pradziadku Władysławie, dziadku Mariannie Tarczyńskiej oraz matce Hannie Nałęckiej z domu Tarczyńskiej.

Do niektórych sporządziła własny opis, do innych uznała, że wystarczy ustny komentarz, który mógłby okazać się pomocny przy ich opracowywaniu. Do tych ostatnich dokumentów należał m.in. skreślony ręką Tarczyńskiego muzealny wykaz akt strażackich, teksty jego wystąpień z okazji jubileuszu łowickiej Ochotniczej Straży Ogniowej z 1909 r., korespondencja z prezesem zarządu straży, późniejszym burmistrzem miasta, Stanisławem Stanisławskim oraz depesze gratulacyjne od różnych osób. Duże wrażenie zrobiły też na mnie wyjęte prawdopodobnie z księgi pamiątkowej osobne karty dotyczące kolejnego jubileuszu straży w 1929 r. z odręcznymi podpisami jego uczestników.

Oprócz rękopisów, cenną częścią daru są stare fotografie, dyplomy i egzemplarze przedwojennej prasy. Wyjątkową wartość historyczną posiada według mnie zestaw kilku zdjęć przedstawiających wnętrza Muzeum Starożytności i Pamiątek Historycznych, które w latach 1908-1914 miało swą siedzibę w budynku Towarzystwa Wzajemnego Kredytu na rogu Starego Rynku i ul. Zduńskiej. Każde ze zdjęć zostało dokładnie opisane przez Tarczyńskiego z podaniem nazwy obiektu muzealnego i miejsca jego przechowywania. Oglądając teraz te fotografie, trudno było mi ukryć podziw dla niezwykłej staranności



Władysław Tarczyński opowiadający uczestnikom wycieczki z Kutna o zamku łowickim, 1913 r., fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łowiczu

i dbałości o formę eksponowania zabytkowych przedmiotów przez ich właściciela.

Prawdziwym rarytasem archiwalnego daru, a jednocześnie przedmiotem, który najbardziej mnie zaintrygował, był jednak niewielkiego formatu notatnik Władysława Tarczyńskiego, zaprowadzony prawdopodobnie jeszcze w końcu XIX w. Na zewnętrznej stronie jego okładki został umieszczony podłużny stempeł własnościowy, na którym widniał w otoku słabo już widoczny napis: „WŁAD. TARCZYŃSKI KORREKT. FORTEPIANÓW W ŁOWICZU”, a w środku „SKŁAD I NAJEM”. Po pierwszym obejrzeniu zeszytu doszedłem do wniosku, iż musiał on służyć właścicielowi do sporządzania wypisów z książek i prasy. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się jego zawartości zrozumiałem, że jest czymś więcej niż zwykłym notatnikiem. Przynosi nie tylko dużo interesujących informacji, ale wiele również mówi o samym twórcy muzeum.

Sporo miejsca zajmują w notesie cytaty z dzieł różnych pisarzy, które moglibyśmy określić terminem „skrzydlate słowa”. Sta-

nowiają fragmenty wierszy Ignacego Krasickiego i Waleriana Kalinki, rozważania na temat chrystianizmu Władysława Michała Dębickiego oraz rewolucji autorstwa Józefa Ignacego Kraszewskiego. Nie brakuje też sentencji i aforyzmów nieznanego pochodzenia, a nawet rymowanek wymyślonych przez samego Tarczyńskiego, jak choćby poniższy wierszyk:

„Gdy mej pracy w ciężkim trudzie,
Nie dość oceniają ludzie,
Nawet pojąc nie są w stanie -
Com zwykł robić w fortepianie,
I w ogóle na swej niwie,
Jak pracuję im uczciwie.
Ale Ty! Widzisz o Boże,
Twego oka ująć nie może;
Więc dla Ciebie robię szczerze,
I w zapłatę Twoją wierzę”.

Nie wdając się w ocenę tego wiersza ani w określanie wartości odpisanych fragmentów utworów, trzeba zauważyć, iż musiały one mieć znaczenie dla Tarczyńskiego, natomiast dla nas mają tę jakość, że ujawniają ważne cechy jego umysłowości i postawy - przywiązanie do tradycji i religii katolickiej, ojczyzny i idei konserwatyzmu.

Część jego notatek to zapiski wyłącznie osobiste. Niektóre wydawać się nam mogą całkiem zaskakujące, jak na przykład dane, ile ważył w „domowym ubraniu” w dniu 15 stycznia 1885 r. i ile wpłacił od 1889 r. do kasy oszczędności na własne konto pogrzebowe albo też ułożone w formie tabeli zestawienie wyjazdów z Łowicza w latach 1890-1898 ze wskazaniem ich liczby, dni spędzonych w podróży oraz przejechanych mil. Znaleźć też można wpisy z gatunku poradnictwa domowego, zatytułowane „Wiadomości gospodarskie”, z których dowiemy się, jaki środek jest najlepszy „na wszelkie robactwo w kuchniach”, jak wywabić tłustą plamę na papierze lub jakie smarowidło stosować na buty.

W zeszycie natrafimy ponadto na notki z dziedziny demografii, np. o liczbie mieszkańców Królestwa Polskiego i Warszawy, oraz na ważne informacje do biografii Władysława Tarczyńskiego, jak

i jego rodziny. Odnotowane bowiem zostały miejsca i czas pochówku najbliższych mu osób na Powązkach w Warszawie oraz na łowickim cmentarzu Emaus. Przy ostatniej z tych nekropoli podaje Tarczyński, iż w kwietniu 1885 r. na ich mogile wznosił w ciągu dwóch dni „własnymi rękami” pomnik z kamieni polnych, na którym postawił żelazny krzyż, w pobliżu zaś miejscu ich pochówku posadził w różnych latach liczne drzewa, które niestety w większości - jak pisze z żalem - „wyschły mimo pielęgnowania”.

Większość zapisów w notatniku dotyczy jednak historii i zabytków Łowicza. Z ich wyjątkowo syntetycznego charakteru można wnosić, iż były swego rodzaju kompendium wiedzy o przeszłości miasta, które wykorzystywał następnie Tarczyński podczas oprowadzania pojedynczych osób lub grup wycieczkowych. Najwięcej miejsca poświęca tu łowickim kościołom, a w szczególności dawnej kolegiacie, poszczególnym jej kaplicom, ołtarzom i epitafiom. Są notatki o wydarzeniach z dziejów miasta, jego znamienitych gościach oraz o zamku arcybiskupim i prymasach Polski. Przy jednym z nich zatrzymuje się zresztą nieco dłużej, a chodzi pochowanego w kolegiackiej kaplicy św. Anny arcybiskupa Jana Wężyka (1575-1638).

Za swym przyjacielem Romualdem Oczkowskim przytacza Tarczyński ciekawą anegdotę z nieznanego źródła, mającą świadczyć o skapstwie Wężyka. Chcąc uwolnić się od przyjeżdżających na zamek próżniaków, łakomych beneficjów kościelnych, prymas nakazał swemu marszałkowi, by sadzać takich na prostych, drewnianych krzesłach okrytych jedynie kitajką, częstować pasztetem ze szczurów i podawać kielich, zwany gwardianem, który był napełniony prochem, muchami i skwaśniałym piwem. W trakcie spotkania arcybiskup usilnie nalegał, by gość częstował się. Ten zaś, krztusząc się, jadł i pił, mając na względzie własny interes. Dopiero, kiedy zadośćuczynienia jego prośbie odmówiono, po opuszczeniu zamku głosił o skapstwie i nieżyczliwości prymasa.

Nie wykluczone, że anegdota ta była stałym elementem opowieści Tarczyńskiego o zamku łowickim, po którego ruinach oprowadzał często przyjezdnych gości. Skądinąd wiadomo, że posiadał ogromną wiedzę, a przy tym dar gawędziarza, dumnie i ze swadą opowiadającego o polskich i łowickich dziejach. Przekonuje o tym również jego notatnik, którego niektóre tajemnice zostały w tym miejscu przeze mnie ujawnione.

Marek Wojtylak



Fragment ekspozycji Muzeum Starożytności i Pamiątek Historycznych w Łowiczu, fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łowiczu

dok. ze str. I

Pani Maryjka w Dąbrowie Zduńskiej

Alle stroje te, barwione domowymi sposobami, nosiły tylko starsze kobiety. W strojach młodszych dominowały już „jaskrawo krzyczące kolory, przeważnie szafir i zieleń, teraz >najmodniejsze<, a dawniej w strojach ludowych nie noszone”. Jedyne chłopcy zachowali jeszcze tradycyjne stroje. „Noszą - zauważyła - obciste kurtki czarnie i spodnie pasiaki w puszczane w buty”. Tego samego dnia po południu pojechała jeszcze do odległych o sześć kilometrów Łaźnik, gdzie w chacie Frankowskich spotkała się z miejscowymi kobietami. Niestety, w drodze powrotnej, na skutek wykolejenia się pociągu pod Jackowicami, musiała wracać pieszo do szkoły. Na miejscu okazało się, że rano zjawił się miejscowy policjant, który „wypytywał kierowniczkę o wczorajszy wieczór, kto przyszedł itp.”

Dąbrowa Zduńska, bo tak zawsze zgodnie z zasadami języka polskiego zapisywała tę nazwę, odegrała również ważną rolę w okupacyjnych losach świetnej pisarki. Przyjacielskie i serdeczne stosunki, jakie ją łączyły ze zduńską szkołą sprawiły, że przyjechała tam 15 grudnia 1943 r. na zakończenie roku szkolnego. Szkoła działała wtedy legalnie, za zgodą władz niemieckich, musiała jedynie być samowystarczalną. Jeszcze raz, ale w jakże odmiennych okolicznościach, znalazła się w Dąbrowie Zduńskiej niemal w rok później. W czasie Powstania Warszawskiego jej mieszkanie przy ul. Polnej 40, gdzie mieści się dziś muzeum jej imienia, znalazło się w ogniu walk. Bojąc się wtargnięcia Ukraińców i Kałmuków, przeniosła się nawet na kilka dni na dziedziniec Biblioteki Publicznej przy ul. Koszykowej. Po powrocie na Polną, 21 września 1944 r. przy gaszeniu pożaru kamienicy, łamała pra-

wą rękę. W kilka dni później, w powstańczym szpitalu zmarła jej siostra Jadwiga Szumska.

Po zawieszeniu broni 1 października wraz z tysiącami mieszkańców Warszawy wyszła z miasta. Razem ze Stanisławem Stempowskim (1870-1957), wieloletnim towarzyszem jej życia, po kilkunastu godzinach dotarła do Milanówka, a stamtąd przez Łowicz i Jackowice do Dąbrowy Zduńskiej. Dotarła tam 21 października 1944 r. Jak zapisała pod datą 28 grudnia tegoż roku, kierujący szkołą państwo Wyszomirscy „zrobili wszystko, aby nam osłodzić gorycz tułaczki”. Wkrótce odwiedził ją Stanisław Lorentz, znajomy jeszcze z czasów przedwojennych. Przywiózł wszystkie rękopisy pisarki, maszynę do pisania, „obrus, a nawet krzyżyk pamiątkowy ze ściany”. W zduńskiej szkole znalazło schronienie blisko stu uchodźców z powstańczej Warszawy. „Cała Warszawa - zapisała - świat wygnańców, sierot, nieszczęśników”. Dąbrowa Zduńska stała się ich drugim domem.

Maria Dąbrowska zamieszkała w pokoiku na pierwszym piętrze, w zachodniej części szkoły, z pisarką Anna Kowalską (1903-1969). Pan Stanisław zamieszkał na dole, razem z Jerzym Kowalskim (1893-1948), profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Dąbrowskiej w codziennych sprawach pomagała uczennica szkoły Alina Borchon, po wojnie legendarna sekretarka zduńskiego liceum ogólnokształcącego. Pani Maryjka powoli dochodziła do zdrowia, tak fizycznego, jak też psychicznego. Włączyła się też do życia szkoły, tego oficjalnego i nielegalnego. Wygłaszała pogadanki, brała udział w wieczorach literackich i teatralnych. Dziewczęta zaimprovizowały nawet „kabaret (...) o wiele lepszy niż wszystkie Qui

pro Quo, Cyruliki itd.”. Wraz ze Stanisławem Stempowskim, jednym z przywódców polskiej masonerii, wędrowali po okolicy poznając sąsiadów i zawierając nowe znajomości. Podziwiała zduński krajobraz, którego zimowa szata zachwyciła ją „dostojnością i majestatem”.

Niemal codziennie tą samą dróżką, obok gospodarstw Gałajów, Kamińskich i Kuczyńskich, wędrowali do Zdun Kościelnych, odwiedzali urząd gminy, pocztę i miejscowe sklepy. W gabinecie dra Henryka Sierakowskiego, podobnie jako oni wysiedlonego z rodzinnych stron, naświetlała kwarcówką złamaną rękę. W Zdunach Kościelnych spotkała mieszkającego tam po opuszczeniu powstańczej Warszawy Mieczysław Smolarskiego (1888-1968), powieściopisarza, poetę i dramaturga. Wkrótce odnalazł ją Leon Rygier (1875-1945), pisarz i pedagog, pierwszy mąż Zofii Nałkowskiej, przebywający wtedy w Świerżu. Odwiedził ją również Ludwik Kolankowski (1882-1952), podobnie jak Jerzy Kowalski, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, który z kolei znalazł schronienie w majątku Marii Stokowskiej w pobliskich Jackowicach. W ten sposób Dąbrowa Zduńska stała się w ciemną „okupacyjną noc bez dnia” ważnym ośrodkiem życia intelektualnego, który promieniował na całą okolicę.

Pewnego zimowego dnia odwiedził ją niespodziewanie Jurek Szumski, syn jej brata Bogumiła (1896-1957), który podczas wojny służył jako dowódca pułku kawalerii zmotoryzowanej w dywizji gen. Władysława Maczka. Jurek, jak zawsze nazywała go w dziennikach Maria Dąbrowska, znalazł się po Powstaniu wraz z matką w pobliskich Świącach. Natomiast jego starsza siostra Gabriela, zwana w rodzinie Ela, została w Świdrze, po tamtej

stronie frontu. Pani Maryjka, jak mogła, z własciwa sobie dobrocią pomagała najbliższym. Kiedy Jurek odwiedził ją 24 stycznia 1945 r., zapisała: „Dostał marmolady, cukru i 500 złotych”. I dodała, że jej „Jureczek, jak zwykle był bardzo miły”.

Stopniowo też poznawała mieszkańców Dąbrowy Zduńskiej i jej okolic. Bardzo ceniła nauczycieli szkoły, a zwłaszcza panią Kazię Michalską, która urzędowała wieczory literackie. Wieczorami gawędziła z Janiną Jurkową i Zofią Niedziałkowską, nauczycielkami tajnych kompletów gimnazjalnych, regularnie też odwiedzała gościnny dom państwa Wyszomirskich. Zaprzyjaźniła się również z rodziną Jana Kuczyńskiego, którego dom mijala niemal codziennie w drodze do Zdun Kościelnych. Bardzo ceniła jego najstarszego syna Józefa, którego uważała za „niezwykle zdolnego mistyka i poetę”. Po wojnie został wybitnym pedagogiem, znawcą szkolnictwa rolniczego i profesorem warszawskiego SGGW. Często rozmawiała też z samym Janem Kuczyńskim, który po odbyciu służby wojskowej we Władowostoku w czasie pierwszej wojny światowej pracował na kolei w Kaliszu. Mogła więc powracać choć w tych rozmowach do umiłowanej Ziemi Kaliskiej, z której przecież wyraastała jej twórczość. Poznała również sąsiadów z Dąbrowy Zduńskiej, rodzinę Świeżyńskich, od których brała mleko. Pan Stempowski zaopatrywał się u nich również w tytoń i naftę. W rewanżu ofiarował młodemu Janowi Świeżyńskiemu piękny jedwabny krawat! W Dąbrowie Zduńskiej poznała też Czesława Guzka, którego później podziwiała w łódzkim Teatrze Kameralnym w „Szkole żon” Moliere.

Dobiesław Jędrzejczyk

ciąg dalszy artykułu w następnym numerze KH.

dok. ze str. II

Zostawił młyn, by chwycić za karabin

Kolejne lata życia spędzał już w młynie, pracując razem z braćmi Janem i Józefem. Wacław nie brał udziału w I wojnie światowej. Ożenił się z Władysławą Olczakowską, z którą miał dwóch synów - Czesława i Ryszarda. Po rozpoczęciu wojny bolszewickiej otrzymał w lipcu 1920 r. powołanie do wojska. Szedł na wojnę z potrzeby ratowania ojczyzny przed bolszewicką inwazją, która zagrażała niepodległemu bytowi dopiero co powstałego polskiego państwa.

Po zakończonej klęską obronie linii Narwi i Bugu na przełomie lipca i sierpnia 1920 r. dowództwo Wojska Polskiego postanowiło rozegrać decydującą bitwę z sowieckim Frontem Zachodnim. 6 sierpnia 1920 r. została utworzona 5 Armia gen. Władysława Sikorskiego ze sztabem w Modlinie. W jej skład weszły 9, 10, 17 i 18 dywizja piechoty, dywizja ochotnicza, dywizja jazdy, Brygada Syberyjska, załoga twierdzy Modlin, 12 Eskadra Wywiadowcza i 13 Eskadra Myśliwska. 5 Armia miała za zadanie bronić rzeki Wkry i według oceny polskiego dowództwa przeprowadzić ofensywę na prawe skrzydło wojsk sowieckich, odciążając w ten sposób Warszawę.

Dopiero 12 sierpnia udało się odpowiednio rozlokować siły polskiego ataku, przewidzianego na 15 sierpnia. Tymczasem 13 sierpnia przyszedł telegram o przyspieszeniu operacji o jeden dzień. Prawie połowa jednostek taktycznych tworzyła formacje improwizowane lub ochotnicze o bardzo słabym zaopatrzeniu w sprzęt. Trzeba było obudzić wśród żołnierzy poczucie wiary i zwycięstwa. Wacław Konopacki zagubiony w tej masie obcych sobie ludzi musiał dostosować się do tych wymagań.

14 sierpnia gen. Sikorski wydał do żołnierzy następujący rozkaz: „Żołnierze! W dniu

dzisiejszym rozpoczyna się z dawna przez armię polską i przez cały Naród oczekiwana kontrofensywa nasza. Piątą Armii przypadło to najszczytniejsze dziś zadanie, by pierwszym uderzeniem rozpocząć i zdecydować rozstrzygający okres polsko-rosyjskiej wojny. Żołnierze, gdy w wichurze ognia ruszycie do ataku, pamiętajcie, że nie tylko o wielkomożną sławę, lecz o wolność i potęgę naszej Ojczyzny walczycie. Na ostrzach Waszych bagnatów niesiecie dziś przyszłość Polski”. I słowa końcowe rozkazu: „Śmiało patrzcie śmierci w oczy, bo śmierć to sława, zwycięstwo, to przyszłość nasza! Naprzód, aż do zupełnego zniszczenia wroga! Niech żyje Polska!”. Inny z rozkazów, wydany przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego, kończył się słowami: „Nogami i męstwem piechura polskiego musimy wygrać tę bitwę”.

16 sierpnia Wacław Konopacki uczestniczył w zajęciu pozycji Serock-Pułtusk-Gęsocin-Ojrzanów-Sochocin-Płońsk-Wyszogród. Jego oddziały zostały uzupełnione siłami dywizji 1 Armii. Po zajęciu Grodziska ruszyły na Mławę, którą opanowały 21 sierpnia. Tu jednak napotykały oddziały III-go Korpusu Gaj Chana, który przebiegał się przez Konopki-Chorzele-Myśzynie-Kolno. W Konopkach sowieci rozproszyli polskie zgrupowanie pancerne (pociągi pancerne i czołgi renault-M-1917-FT), rozbili 2 bataliony 18 Dywizji, ominęli Grudusk, gdzie znajdowała się Dywizja Ochotnicza i pokonali 22 pułk piechoty w rejonie Chorzele i Myszyńca.

Dopiero pod Kaliszem, pod naporem całej 4 Armii Polskiej Gaj Chan musiał wycofać się za granicę niemiecką. Oddziały bolszewickie chciały za wszelką cenę zdobyć Chorzele, by znaleźć wolną drogę wzdłuż granicy polsko-pruskiej i przebić się przez Myśzynie i Kolno.

Walki trwały przez cały dzień do godzin wieczornych. Polacy odzyskali Chorzele w nocy z 23 na 24 sierpnia, gdy korpus Gaj Chana uciekł na północny wschód. Walki pod Borkiem i Chorzelami uznano za najkrwawsze epizody na szlaku wojennym. 28 sierpnia gen. Sikorski w swym rozkazie pisał: „Jestem dumny, że dowodziłem oficerami, którzy dzieląc wszelki trud z żołnierzami, potrafil, jak sam widziałem, prowadzić boso pułk do walki, lżej ranni uciekali ze szpitala”.

Wacław Konopacki nie doczekał się tego uznania, zginął 23 sierpnia pod Chorzelami. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Chorzelach, który skrywa ciała 174. poległych w trakcie tych walk. Pochowani są tu jednak nie tylko żołnierze, którzy zginęli z bronią w ręku. Wielu z nich zostało zamordowanych przez oddziały Gaja Bżiszki, zwanego Gaj Chanem. Sowieccy soldaci stosowali się do rozkazów swoich przełożonych, zabraniającym brać przeciwnika do niewoli. Wielu polskich żołnierzy wyłapano w mieście, rozebrano, po czym zasieczono szablami. Nie oszczędzono też ludności cywilnej.

Gen. Lucjan Żelichowski, który wizytował miejsce walki dzień później, tak je opisywał: „Widok pola walki robił przykre wrażenie. Leżała wielka na nim ilość trupów. Byli to w większości nasi żołnierze, ale nie tyle ranni i zabici w czasie walk, ile pozabijani po walce. Całe długie szeregi trupów w białiznie tylko i bez butów, leżały wzdłuż płotów i w pobliskich krzakach. Byli pokłuci szablami i bagnetami, mieli zmasakrowane twarze i powykręwane oczy”. Udało się ustalić nazwiska 33. żołnierzy z 70 pułku i 1 oraz 2 syberyjskiego pułku piechoty, którzy zginęli pod Chorzelami

w dniach 22-24 sierpnia, pozostałych nie zidentyfikowano. Niestety, wśród nich nie rozpoznano Wacława Konopackiego. Prawdopodobnie jego ciało zostało zmasakrowane, co uniemożliwiło identyfikację. Zginął nad rzeką Orzyc w rodzinnych stronach swego dziadka Józefa, założyciela młyna wodnego w parafii bełchowskiej.

Rodzice Wacława, chcąc upamiętnić bohaterstwa śmierć syna, za zgodą proboszcza parafii bełchowskiej księdza Ziemkowskiego, umieścili w 1930 r. na ścianie kościoła tablicę pamiątkową zwróconą w kierunku Chorzele.

Po 25. latach w 1945 r. miał miejsce w Bełchowie zaskakujący incydent. Do majątku Konopackich przybył mężczyzna ubrany w polski mundur, podający się za Wacława Konopackiego. Swoje długie milczenie i nieobecność tłumaczył tym, iż podczas walk w 1920 r. był ranny kozacką szablą w głowę i został wzięty do niewoli. Następnie długie lata przebywał w Związku Radzieckim i nie mógł nawiązać kontaktu z rodziną. Wszyscy przysłuchiwali mu się ze zdziwieniem. Przybysz potrafił rozpoznać niektórych członków rodziny, jednak ci nie uwierzyli mu i uznali za oszusta. Widząc bezowocność starań w przekonywaniu o swej tożsamości, mężczyzna po kilku dniach wyjechał. Tymczasem młyn nad Łupią popadł w ruinę i w latach 50. XX wieku runął do rzeki, grzebiąc pamięć o tym miejscu.

Mirosław Figaszewski

ŁOWICZANIN – Kwartalnik historyczny. Dodatek do Nowego Łowiczana, sprzedaż wraz z tym tygodnikiem. Wydawca: Oficyna Wydawnicza Nowy Łowicz s.c., 99-400 Łowicz, ul. Piłarska 3A, tel./fax 46 837-46-57, e-mail: redakcja@lowicznanin.info Redaktor naczelny: Marek Wojtylak